

Mieszaniny (nie)polityczne

Tomasz Gabiś

Zapiski manarchisty (XVII)

Komputer to kretyn (Peter Drucker)

W książce *Tumult i widma* (Znak, Kraków 1997) Józefa Czapskiego znalazł się jego tekst *Tamten brzeg i własne wspomnienia*, przedrukowany z paryskiej „Kultury” (1961 nr 5) a poświęcony, opublikowanym rok wcześniej, wspomnieniom Kajetana Morawskiego *Tamten brzeg. Wspomnienia i szkice*. Dowiadujemy się od Czapskiego, że o Romanie Dmowskim pisał on z oględnością, z przyjaznym szacunkiem, choć jego poglądów nigdy nie podzielał. Wspominając obiad u pani Marii Sobańskiej w roku 1919, pokazuje Dmowskiego „od strony ludzkiej i sympatycznej”: „Ale czytając ten opis wspominam inny obiad u tejże pani Marii Sobańskiej na Kredytowej, na którym nie byłem obecny, ale z którego miałem relacje bezpośrednie, bodajże od samej pani Domu, gdzie Dmowski szalał z radości z powodu dojścia do władzy Hitlera” (s. 296).

Czapski wspomina obiad, na którym nie był obecny! Zatem, dokładniej rzecz biorąc, wspomina nie obiad, ale „relacje bezpośrednie” z tego wydarzenia. Co ciekawe, Czapski zapamiętał treść opowieści o „szalejącym z radości Dmowskim”, ale nie zapamiętał, kto zdał mu relację z owego obiadu. Partykuła „bodajże” w sformułowaniu „bodajże od samej pani Domu” wyraża wszak wątpliwość co do prawdziwości ewentualnie ścisłości przekazywanej informacji.

Zawsze kiedy czytam takie wspominki „naocznych” lub „nausznych” świadków, zwłaszcza jeśli ich celem jest zdyskredytowanie jakiejś osoby, przychodzi mi na myśl bohaterka powieści Agaty Christie panna Marple, która, kiedy ktoś informował ją o jakimś zdarzeniu np. „Pan Smith był w ogrodzie i podlewał kwiaty”, korygowała go: „Pan Smith m ó w i ł, że był w ogrodzie i podlewał kwiaty”, albo „Pani Wright m ó w i ł a, że pan Smith był w ogrodzie i podlewał kwiaty”. Zapoznawszy się z relacją Czapskiego, panna Marple leciutko by się uśmiechnęła

i powiedziała: „Pan Czapski mówi nam, że ktoś – kto, tego pan Czapski, dokładnie nie pamięta – mówił mu, że pan Dmowski szalał z radości”.

Niniejszym zgłaszam dezyderat badawczy: zbadać, kiedy dokładnie odbył się obiad, kto obiadował i czy Dmowski rzeczywiście „szalał z radości”. A jeśli „szalał”, to co dokładnie robił? Może tańczył kankana na stole?

* * *

Swego czasu wysłuchałem prelekcji pewnego profesora historii na temat Romana Dmowskiego i jego działalności. Prelegent omawiając sytuację polityczną w okolicach maja 1926 roku jakoś dziwnie pomniejszał rolę Marszałka Piłsudskiego w tamtych wydarzeniach. Po prelekcji zadałem więc mu pytanie, jaka według niego była rola Marszałka w zamachu majowym. Na to uczony wyjaśnił, że Piłsudski leżał na kanapie i kręcił młynka palcami. „No to, kto w końcu zrobił zamach majowy”, zapytałem. W odpowiedzi usłyszałem: „Generał Orlicz-Dreszer”! Jak widać, endecy nie tylko chcą Marszałka pozbawić zwycięstwa nad bolszewikami w 1920, ale ponadto – profesor lekko „endekizował” – chcą mu jeszcze odebrać udany pucz wojskowy, uwieczniony przez Curzio Malaparte’go w *Technice zamachu stanu*, gdzie znalazł się w towarzystwie nie byle kogo, bo Napoleona Bonaparte, Lenina, Trockiego, Kappa, Primo de Rivery, Mussoliniego i Hitlera.

* * *

Historię trzeba dziś pisać ołówkiem; łatwiej potem to i owo wygumkować. (Pierre Gaxotte)

* * *

Książki Sławomira Kopera i Tymoteusza Pawłowskiego *Tajemnice marszałka Śmigłego-Rydza. Bohater, tchórz czy zdrajca* nie czytałem, ale zapoznałem się z omówieniem pióra Tomasza Stańczaka (*Odczernianie Śmigłego*, „Do Rzeczy” 2019 nr 7). Cytuję:

Co do przejścia marszałka do Rumunii, to autorzy aprobaują decyzję Śmigłego. Marszałek stwierdzał, że nie było dla niego trudnością dołączyć do walczących oddziałów i bohatersko zginąć. Uznał jednak, że powinien kontynuować walkę u boku aliantów, organizując wojsko polskie na Zachodzie. Zabrakło może tylko, jak uważają autorzy, patetycznego gestu, który Polacy tak lubią i który osłodziłby klęskę. Mógł Śmigły przejść granicę jako ostatni żołnierz.

Wyznam szczerze, że tłumaczenie decyzji Śmigłego-Rydza – przez niego samego oraz autorów książki – wydaje mi się nieco naciągane. Przecież każdy głównodowodzący armii ma swojego zastępcę – i to ten zastępca wyposażony przez Naczelnego Wodza w odpowiednie plenipotencje, powinien ewakuować się za

granicę, by tam „kontynuować walkę u boku aliantów, organizując wojsko polskie na Zachodzie”. A marszałek mógłby wówczas „dołączyć do walczących oddziałów i bohatersko zginąć”, pozostawiając potomnym pożyteczny, patriotyczny mit. Tymczasem Naczelnny Wódz – podobnie jak Beck, Mościcki, Sławoj-Składkowski – zgodnie z naszą personalistyczną kulturą, utożsamiał stanowisko i kompetencje doń przypisane ze swoją własną osobą i uznał się za człowieka niezastąpionego w dziele „kontynuowania walki u boku aliantów i organizowania wojska polskiego na Zachodzie”.

Z politycznego punktu widzenia wszakże była to decyzja całkowicie racjonalna, ponieważ gdyby najwyżsi przedstawiciele polskiej elity rządzącej, która przystąpiła do koalicji antyniemieckiej, pozostali w Warszawie, powstałoby w Europie i na świecie wrażenie, iż Polska skapitulowała i tworzy się jakiś „rząd kolaboracyjny”, a to byłoby czymś wysoce kłopotliwym dla koalicji antyniemieckiej w wymiarze politycznym i propagandowym. I tego chciano za wszelką cenę uniknąć. Zatem nie „tchórzliwa ucieczka”, nie wynik pyszałkowatego przekonania o własnej „niezastąpioności”, lecz dalekowzroczne, przemyślane posunięcie polityczne!

* * *

*Adiutant Maczka – po Jalcie – pocieszał generała: „Ja mam pomysł, niech Pan General wjedzie czołgiem do Mozy wołając – jak to tam było – Bóg mi powie-
rzył...”* (Konstanty Jeleński)

* * *

Prof. Paweł Śpiewak ujawnił pretensje, jakie żywi do Polaków:

Mam raczej pretensję o to, że Polacy teraz tego nie rozumieją, nie umieją poczuć się Żydem w lipcu 1942 roku, w dniach deportacji do Trebłinki. Nie rozumieją, co to znaczy być w sytuacji nieprawdopodobnej paniki, strachu, czuć się jak zwierzyna, która za chwilę będzie upolowana. Dla mnie to jest po prostu brak zwykłej empatii. Ale to wymaga długiej pracy, nikt się tego nie nauczy w trzy minuty (luty 2019; <https://wiadomo.co/prof-pawel-spiewak-polacy-nie-umieja-poczuc-sie-zydem-w-lipcu-1942-roku/>).

Bardzo wysokie wymagania stawia nam prof. Śpiewak, wymagania, którym sprostać niepodobna. My, zwykli ludzie mamy trudności, żeby się poczuć umierającym za ścianą sąsiadem, a co dopiero kimś z odległej przeszłości, z kim nie łączy nas żadna autentyczna emocjonalna więź, kogo w ogóle nie znaliśmy.

Henri Michaux zauważył: „Kto ma szpilkę w oku, tego nie obchodzi przyszłość angielskiej floty”, zaś niemiecki aktywista radykalnej lewicy Dieter Kunzelmann (1939–2018) wyznał niegdyś szczerze i dosadnie: „Wojna w Wietnamie mało mnie interesuje, jak długo mam kłopoty z orgazmem”. Ktoś może mieć dzisiaj taką czy inną „szpilkę w oku” albo takie czy inne „kłopoty z orgazmem”, a Paweł Śpiewak każe mu się czuć Żydem z lipca 1942 roku. Powinien sobie

przypomnieć obserwację Gombrowicza, może wtedy uświadomiłby sobie śmieszność swoich, wyrażanych z nieznośnym patosem, pretensji:

Jest niepodobieństwem podjąć wszystkie wymogi Daseinu a zarazem pić kawę z rogalikami na podwieczorek. Lękać się nicości, ale bardziej bać się dentysty. Być świadomością, która chodzi w spodniach i rozmawia przez telefon (*Dziennik 1953–1958*, Kraków 2009, s. 290).

W ostatecznym rozrachunku postulaty Śpiewaka zrodzone z ducha moralnej hipertrofii, prowadzą – opisał ten proces niemiecki filozof polityczny Peter Furth na przykładzie erefenowskiej kultury politycznej – wyłącznie do jednego: symulowania empatii, rytualnego pseudo-wspominania, udawanego wczuwania się w czyjeś cierpienie, a w rezultacie do panowania obłudy wśród sporej części elity kulturalno-politycznej. Nie bądźmy jednak dla niej nazbyt surowi, ponieważ, jak objaśnia Lou A. Rollins w swoim *Słowniku Lucyfera*:

Hipokracja – rządy hipokrytów; innych rządów nie ma.

Hipokryta – osoba praktykująca nałogi a cytująca biblijne wersety; istota ludzka.

* * *

Historyk to dziennikarz zwrócony wstecz. (Karl Kraus)

* * *

Czasy nastały, by tak rzec, z lekka „apokaliptyczne”, toteż warto sięgnąć po odpowiednią lekturę na jesienny wieczór. Sięgnąłem więc po *Scenariusze końca. Zmierzch, kres, apokalipsa* (wybór, redakcja i wstęp Dariusz Czaja, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015). Tamże pomieszczono esej Magdy Heydel *Pejzaż z pamięci, płomienia i prochu. Wizja końca w „Pierścieniach Saturna” W. G. Sebald*. Autorka powołuje się m.in. na książkę brytyjskiego historyka i historyka sztuki Simona Schamy *Landscape and Memory* (1995) – „wielkie studium na temat sposobów istnienia i znaczenia pejzażu w kulturze Zachodu”. Schama, objeżdżając pogranicze polsko-litewsko-białoruskie, odwiedził m.in. wieś Giby na Suwalszczyźnie i opisał, co tam zobaczył. Heydel cytuje Schamę: „Żeby zrozumieć, co znaczy »pejzaż i pamięć« potrzebny mi był kopiec w Gibach”. I dalej tak pisze: „Obłożony kamieniami ziemny wzgórek w małej suwalskiej wiosce upamiętnia masakrę mieszkańców dokonaną przez Niemców w 1945 roku w odwecie za udzielanie pomocy Armii Krajowej. Dlaczego właśnie to miejsce, jakich w pejzażu naszej części Europy jest tak wiele, że nietrudno ich zwyczajnie nie zauważać, stało się dla Schamy kluczem do szyfru pamięci?” (Heydel, s. 187).

Czyżby Schama nie zauważył, że miejsce pamięci w Gibach poświęcone jest ofiarom masakry dokonanej na ludności polskiej przez NKWD? Czy może Magda

Heydel – odsyłająca czytelnika do odpowiedniego passusu w jego dziele – czegoś nie doczytała? Na łamach pisma „Spojrzenia” nr 157 (1997) ukazało się tłumaczenie prologu do części pierwszej (*Wood*) książki Schamy a w nim fragment:

Potrzeba mi było tego kopca w Gibach, abym mógł ostatecznie zrozumieć, co oznacza »krajobraz i pamięć«. Podeszliśmy do tego krzyża po trawiastej pochyłości, oznaczonej głazami, setkami głazów, stojących rzędami jak zbiorowisko, jak batalion strzegący świętej drogi. Już w połowie drogi do szczytu można było odczytać na małej kartce przybitej do krzyża napis, mówiący że z początkiem roku 1945, właśnie tu, w Gibach, NKWD, stalinowska policja bezpieczeństwa, zamordowała setki kobiet i mężczyzn, oskarżonych o współpracę z Armią Krajową (tak też jest w oryginale: *NKVD, Stalin's security police*).

Schama pisze wyraźnie o NKWD jako o sprawcy masakry, jakim cudem więc u Magdy Heydel „NKWD, stalinowska policja bezpieczeństwa” przepoczwarzyła się w Niemców? Jak widać, nie tylko pamięć, ale i Pamięć może nam spletać figla.

* * *

Nieszczęściem zmarłego jest to, że wróg go przeżył i napisał jego historię. (Fryderyk Schiller)

* * *

W *Scenariuszach końca* znajdziemy też tekst Daniela Cichego *Muzyka na koniec czasu*, opisujący genezę i okoliczności powstania *Kwartetu na koniec czasu* Oliviera Messiaena. Muzykolog ocenia utwór jako „dzieło w dorobku francuskiego Mistrza najpełniejsze, najbardziej koherentne, dzieło w którym zespolenie treści muzycznych i symbolicznych występuje w stopniu najwyższym (...) To przykład języka muzycznego – jak mówił kompozytor – »niematerialnego, uduchowionego, katolickiego« ”.

Kwartet na koniec czasu (na klarnet, skrzypce, wiolonczelę i fortepian) powstał w obozie jenieckim Stalag VIII A w Görlitz-Moys, przez który w latach 1939–1945 przewinęło się sto dwadzieścia tysięcy jeńców różnej narodowości. Więźniowie mieli do dyspozycji teatr, w którym regularnie wystawiano sztuki, organizowano pokazy filmowe, odczyty, koncerty muzyki kameralnej (wszystkie informacje podaję za Cichym). Muzycy cieszyli się przy tym wyjątkowymi względami – dość szybko stworzono dwudziestopięcioosobowy zespół kameralny, działał również jazz band. Messiaen wcześniej został zidentyfikowany przez komendantów jako uznany kompozytor. Miał więc niemal od początku uprzywilejowaną pozycję. Hauptmann Karl-Albert Brüll oraz Lagerkomendant Franzpeter Goebels, z wykształcenia pianista, nie tylko pozwolili mu zachować całkiem pokaźny zbiór kieszonkowych partytur (od *Koncertów brandenburskich* Bacha do *Suity lirycznej* Berga), ale skierowali go do lekkiej pracy w bibliotece. Komendanci zachęcali także Messiaena do komponowania, dostarczając mu papier nutowy, ołówek i gumkę; dla kompozytora sprowadzono fortepian, otrzymał też

oddzielne pomieszczenie w baraku teatralnym, gdzie mógł spokojnie tworzyć. Ponieważ wiolonczelista nie miał wiolonczeli, „pod eskortą żołnierzy udał się więc do miejscowego lutnika, by zakupić odpowiedni instrument”.

Prawykonanie *Kwartetu* odbyło się w obecności ok. 300 jeńców 15 stycznia 1941 r. Kapitan Wehrmachtu Carl-Albert Brüll określił koncert jako „wstrząsający, niepowtarzalny”. Brüll (1902–1989), z wykształcenia prawnik, ze względu na dobrą znajomość francuskiego został wyznaczony do służby w stalagu jako tłumacz. 17 czerwca 1953 r. brał udział w Görlitz w akcji uwolnienia więźniów politycznych z miejscowego więzienia. Skazany „jako prowodyr” na pięć lat pozbawienia wolności został zwolniony w 1956 r. Krótko potem wyjechał do Berlina Zachodniego.

Nie bardzo wiadomo, kim jest, wzmiankowany przez Cichego, „Lagerkomendant Franzpeter Goebels, z wykształcenia pianista”. Messiaen i inni jeńcy francuscy przybyli do obozu ok. połowy lipca 1940 r., a od sierpnia tego roku do lipca 1943 r. komendantem Stalagu VIII A był Alois von Bielas (zob. https://de.wikipedia.org/wiki/Stammlager_VIII_A).

Pianista, klawesynista i kompozytor Franzpeter Goebels (1920–1988) w latach 1940–1942 pracował jako muzyk w radio, a następnie służył w Wehrmachcie. W jego biogramach nie ma wzmianki o tym, że miał cokolwiek wspólnego ze stalagiem w Görlitz, a tym bardziej że był przez jakiś czas jego komendantem. Czyżby dwóch pianistów o tym samym imieniu i nazwisku? Możliwe, choć mało prawdopodobne.

Okoliczności powstania *Kwartetu* nasuwają dwie – nienowe rzecz prosta – refleksje. Po pierwsze, nawet w trudnych warunkach życiowych czy politycznych, oczywiście tylko wówczas, kiedy pozostaje jakiś obszar wolności i ma się, choćby minimalne, środki ku temu, można tworzyć, wykonywać pracę duchową. Po drugie, uczestnicy wielkich wydarzeń historycznych inaczej je zapamiętują, inaczej opowiadają swoje historie, inne doświadczenia przekazują następnemu pokoleniu ze względu na to, że owo wielkie wydarzenie jest jedno wprawdzie, ale rozpada się na okresy, strefy, miejsca, klimaty, konstelacje, sytuacje. Podczas gdy w stalagu Görlitz-Moys Messiaen pracuje nad swoim wielkim dziełem, muzycy muzykują, trwają przygotowania do obozowego koncertu, to gdzieś dalej na wschodzie stoją opustoszałe baraki obozów jenieckich w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Kiedy w obozie jenieckim w Görlitz rozbrzmiewa muzyka Messiaena, której w skupieniu słuchają jeńcy, wśród nich polscy, a która odbiorcę „przenosi w inny wymiar, pozaziemski, w sferę dźwiękowej transcendencji i muzycznej eschatologii” (Cichy), zwłoki innych jeńców rozkładają się w katyńskich dołach śmierci. Jeden czas, dwa światy, dwa losy.

* * *

„W przypadku pomników najbardziej rzuca się w oczy to, że się ich nie zauważa. Nie ma na świecie niczego, co byłoby tak niewidoczne jak pomniki” – te znane i wielokrotnie cytowane słowa Roberta Musila ze *Spuścizny za życia* (1936) powinny

jako motto towarzyszyć wszelkim debatom o formach, kształtach, stylach pomników i miejsc pamięci, o przestrzeniach, które je otaczają, przenikają lub do nich przynależą. Nad tym jak uczynić niewidoczne widocznym, jak sprawić, żeby niezauważane zauważono, zastanawiał się zapewne Oskar Hansen, pracując – wraz ze swoim zespołem, w skład którego wchodziła Zofia Hansen, Jerzy Jarnuszkiewicz, Julian Pałka – nad projektem zgłoszonym na „Międzynarodowy konkurs na pomnik ofiar faszyzmu w Auschwitz Birkenau” w 1958 roku.

Projekt „Pomnik–Droga” (opisuję za artykułem Katarzyny Murawskiej-Muthesius *Oskar Hansen and the Auschwitz „Counter Memorial,” 1958–59, „Art-Margins,”* 2002) przewidywał wybudowanie szerokiej na 70 metrów i długiej na 1000 metrów asfaltowej drogi, przecinającej diagonalnie obóz oraz zaspawanie, prowadzącej do niego, głównej bramy. Czarna droga niczym wulkaniczna pompejańska lava miała „zalać” pozostałości obozu kończąc się gwałtownie przy krematoriach; rozciągające się wokół obozowe baraki miały zostać pozostawione same sobie, poddane zegarowi biologicznemu, zarastaniu przez drzewa, krzaki, trawy i mchy. Autointerpretując swoją ideę Hansen napisał, że „Pomnik-Droga” „jest eksploracją ciągłości, wywodzi się z życia, przekracza śmierć i powraca w innym życiu, życie i śmierć definiują się nawzajem”. Takiego pomnika nie dałoby się chyba nie zauważyć.

* * *

Historia się nie powtarza, to historycy powtarzają jeden za drugim. (Max Beerbohm)

* * *

Projekt zespołu Oskara Hansena, wyprzedzający o 20 lat podobne koncepcje w Europie Zachodniej, stanowił „kontr-pomnik” w stosunku do monumentalnych, figuratywnych pomników poprzedniej epoki. Do pomników w tradycyjnym stylu należy wzniesiona w Hamburgu w latach 1903–1906 34-metrowa statua Ottona von Bismarcka. Znaleźli się dziś odważni przeciwnicy kanclerza Rzeszy, którzy nie bacząc na to, że statua i tak jest – według Musila – niewidoczna, nawołują do jej zburzenia. Bardziej umiarkowani demokraci żądają pozbawienia jej głowy, tak jakby chcieli, choćby tylko symbolicznie, zgilotynować księcia. Kto wie, może właśnie tego acefalicznego Bismarcka zaczęto by zauważać.

Piotr Semka tak skomentował antybismarckowskie inicjatywy: „Kolejny kandydat [do usunięcia] to pomnik Bismarcka w Hamburgu. Część miejscowej lewicy zarzuca kanclerzowi, że to za jego rządów Niemcy zaczęli zdobywać kolonie. Żadne decyzje jeszcze nie zapadły, ale na cokole już wysprejowano napis: »Bismarck bye, bye«. Akurat »żelaznego kanclerza« – gdyby ktoś chciał go zrzucić z postumentu – zęgałoby bez żalu bardzo wielu Polaków” (P. Semka, *Jak to*

z *Maurami było*, „Do Rzeczy”, 2020 nr 40]. Ja żegnałbym z żalem, nie dlatego, że mam do dawnego kanclerza Rzeszy jakiś sentyment, ale dlatego, że obalić jego pomnik chce antyfa, zarówno ta establishmentowa, jak i pozostająca na jej usługach bojówkarska antyfa uliczna. Należy wyjść poza rozpatrywanie tych spraw z czysto narodowej perspektywy, ponieważ mamy do czynienia ze zjawiskiem ponadnarodowym, które można obserwować w USA, w Wielkiej Brytanii, we Francji, w Hiszpanii i innych krajach, gdzie „antyfaszystowska międzynarodówka” dąży do likwidacji wszelkich świadectw historycznej wielkości i historycznej tożsamości narodów europejskich i narodu (euro)amerykańskiego. Stoimy w obliczu polityczno-kulturalnych procesów wykraczających daleko poza narodowe, w tym przypadku polsko-niemieckie, historyczne zaszłości.

Cieszyć się z obalania pomnika Bismarcka przez antyfę, to tyle co grać w grę, której reguły ona ustala, dość naiwnie sądząc przy tym, że da się tu jakiś drobny polski interes narodowy przepchnąć; drobny, ponieważ w obalaniu pomników manifestuje się dążenie – obecne od dziesięcioleci w wielu innych dziedzinach – do moralno-kulturalno-politycznej delegitymizacji całej cywilizacji europejskiej, do której wszak i my należymy. Dlatego staję zdecydowanie w obronie pomnika Bismarcka, jednego z wielu pomników w Europie i USA, które „zoologiczni antyfaszyści” pragną obalić.

* * *

Dwa przykłady wcale niemałych różnic w ocenie historycznych wydarzeń. W oczach Timothy Leary’ego zsyntetyzowanie LSD w dniach 16–19 kwietnia 1943 roku przez Alberta Hoffmanna było wydarzeniem ważniejszym w dziejach świata niż zakończona dwa miesiące wcześniej bitwa stalingradzka. Natomiast brytyjski pisarz Hector Hugh Munro (1860–1916) znany pod literackim pseudonimem „Saki” głosił pogląd (podaję za Christopherem Hitchenssem), że nawet wojna światowa jest lepsza od socjalizmu.

* * *

„Ekshumacja w Jedwabnem byłaby wstydem także dlatego, że nie miałyby naukowego sensu. Trzeba by każdej, nawet najmniejszej odnalezionej kości wykonać badanie DNA. Wiemy, że tylko liczba unikalnych, tzn. niepowtarzalnych profili DNA mogłaby wskazać minimalną liczbę ofiar. Problem w tym, że uzyskanie DNA ze spalonych kości będzie niemożliwe. I w tym, że nie wszystkie spalone kości przetrwały w ziemi przez tyle lat” (Wojciech Tochman, *Duchy krązą, panie premierze*, „Duży Format”, 26 lutego 2018).

Spalenie kości nie jest prostą sprawą; nawet polane benzyną zwłoki ulegają tylko częściowemu zwęgleniu. W Jedwabnem ofiary znajdowały się w stodole, którą podpalono, toteż znaczna część energii cieplnej uległa rozproszeniu na

zewnątrz, co pozwala przypuszczać, że szkielety ofiar nie uległy daleko idącej destrukcji.

Dla celów badań historycznych – ustalenie liczby ofiar, ewentualnie ich płci i wieku oraz przyczyn śmierci – nie jest potrzebne wykonywanie badań DNA „nawet najmniejszej odnalezionej kości”. Wystarczyłoby samo policzenie i zbadanie czaszek, które z pewnością ani się nie spaliły, ani przez osiemdziesiąt lat nie uległy rozkładowi.

* * *

Tytuł książki Karoliny Wigury *Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki* (Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2011) jest nieco mylący, sugeruje bowiem, że chodzi o strategię prowadzenia polityki przez udzielających przebaczenia, tymczasem autorka podaje przykłady przeprosin, próśb o przebaczenie, okazywania skruchy, ale ani jednego przykładu przebaczenia (oprócz wyjątkowego listu polskich biskupów z 1966 roku). Czytamy wprawdzie o „współczesnych deklaracjach przebaczenia i skruchy w polityce” (s.17), ale żadnych „deklaracji przebaczenia” nie znajdziemy. Wigura pisze o „epoce przebaczenia” (s. 16), odsyłając do tekstu R.L. Brooksa *Age of Apology*, co należy tłumaczyć jako „epokę przeprosin”. Tak więc zamiast „globalizacji przebaczenia” (s. 16) powinna być „globalizacja próśb o przebaczenie” czy też „globalizacja przeprosin”. Należałoby więc raczej dać książce tytuł *Prośby o przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki*, no i zabrać się za pisanie książki pt. *Nieprzebaczenie jako strategia prowadzenia polityki*. I zapytać, skąd bierze się odmowa przebaczenia, dlaczego proszeni o wybaczenie go nie udzielają, dlaczego przeprosiny, okazanie skruchy i prośba o wybaczenie są tylko ogniwem pewnej serii aktów politycznych, która nie ma końca.

Wigura nie próbuje dociec, jaką strategiczną funkcję polityczną pełni „nieprzebaczenie”, a jedynie podaje w książce argumenty (racjonalizacje) w różnych wariantach wysuwane na rzecz takiego postępowania przez tych, którzy zgodnie z zasadą „never forget”, „nigdy nie wybaczą”: tylko umarli mogliby wybaczyć; przebaczenie jest niemożliwe, ponieważ ofiary nie żyją; nie ma nikogo, kto odpowiedziałby „przebaczam”; my żyjący nie mamy prawa wybaczyć, a ci którzy mieli prawo wybaczyć nie żyją itd. itp. Zauważmy, że gdyby chcieć potraktować poważnie te uzasadnienia jako argumenty, a nie jako racjonalizacje i uzasadnienia decyzji politycznych, to powinno się uznać, że działa to także w drugą stronę: „My nie mamy prawa prosić o wybaczenie, ponieważ tylko sprawcy mogliby to uczynić, a oni nie żyją”.

Mamy sytuację dość niezwykłą: prośba o wybaczenie jest daremna, ponieważ skierowana w próżnię, jako że umarli na nią nie odpowiedzą, a tylko oni mogliby wybaczyć. Prośba o wybaczenie musi jednak zakładać, że proszony jest w stanie na nią odpowiedzieć – albo wybaczy, a wówczas sytuacja powraca do *status*

quo ante, albo nie wybaczy, a wówczas ponawianie próśb traci sens. W tym przypadku sama możliwość wybaczenia, jak i niewybaczenia jest z góry wykluczona, ponieważ zmarli *ex definitione* nie wybaczą i nie odmawiają wybaczenia. W jakim więc celu składa się prośby o wybaczenie? Kogo właściwie się przeprasza? Wigura próbuje wybrnąć z tego zapętlenia odwołując się do pojęcia reprezentacji moralnej. Osobistości życia politycznego i religijnego, osoby uznane za autorytety reprezentują moralnie swoje wspólnoty – zarówno te, z których pochodzili nieżyjący sprawcy, jak i te z których pochodziły nieżyjące ofiary. Mają one legitymację, by wypowiadać słowa przeprosin lub przebaczenia w imię zbiorowości, które reprezentują. Jednakże z możliwości tej korzystają tylko reprezentanci zbiorowości, z której pochodzili nieżyjący sprawcy, natomiast reprezentanci zbiorowości, z której pochodziły ofiary, mimo iż mają według autorki prawo do wybaczenia, tego nie czynią posługując się prostym wykrętem, że tylko „umarli mogą wybaczyć”. Nigdy też nie zaakceptowałyby ewentualnego wykrętu drugiej strony, że „umarli nie mogą prosić o wybaczenie”.

Wigura opisuje scenę z wizyty prezydenta Korei Południowej w Japonii, w trakcie której japoński premier przeprosił za popełnione ponad pół wieku wcześniej winy wobec narodu reprezentowanego przez gościa. Jeśli premier przepraszał jako reprezentant moralny Japończyków, to dlaczego prezydent, jako reprezentant moralny Koreańczyków, nie przyjął przeprosin i nie wybaczył „w imieniu ofiar”, a jedynie „z powagą przyjął deklarację” premiera? Ano dlatego, że wówczas sam wytrąciłby sobie z ręki psychopolityczną broń, służącą do utrzymywania moralnej przewagi nad przepraszającym i proszącym o wybaczenie, z której nikt łatwo nie rezygnuje. W tym sensie nieprzebaczenie jest także strategią prowadzenia polityki. O ile hasło *never forget!* jest czymś zrozumiałym, o tyle hasło *never forgive!* staje się zrozumiałe dopiero wówczas, kiedy interpretuje się je jako element strategii politycznej.

Także po stronie przepraszających, okazujących skruchę i proszących o przebaczenie akty te są elementem strategii politycznej, i to w dwóch aspektach. Po pierwsze prosi się o wybaczenie, aby się ukorzyć przed zwycięzcą, złożyć mu hołd, psychologicznie „rozbroić wroga”, udobruchać go, zneutralizować jego możliwe roszczenia polityczne czy finansowe.

Ale jest i drugi aspekt strategii politycznej przeprosin. Prawdziwym adresem tego spektaklu samobiczowania (na temat samobiczowania i euromasochizmu zob. Pascal Bruckner, *Tyrania skruchy. Rozważania na temat samobiczowania Zachodu*, przeł. Andrzej Szeptycki, PIW, Warszawa 2019), inscenizowanego przez demokratyczno-liberalne elity jest własny naród. O ile w przypadku strategii „niewybaczenia” przewagę moralno-polityczną nad stroną proszącą o wybaczenie zyskuje strona niewybacząca, o tyle w kontekście wewnętrznym strona prosząca o wybaczenie dąży do uzyskania przewagi moralno-politycznej nad narodem, to wobec niego stosuje strategię polityczną „prośb o wybaczenie”, „przeprosin”, „okazywania skruchy” – są to narzędzia władzy moralno-politycznej nad

„prostymi ludźmi”, którzy – bezduszni, niewrażliwi moralnie, krzając się tylko wokół swoich codziennych, drobnych zatrudnień i rozrywek – niezdolni są do tak głębokiego i autentycznego przeżywania win swoich przodków, do ich bezustannej memorializacji, do wczuwania się w ofiary, do empatii wobec niegdyś prześladowanych, jednym słowem, do tak żarliwego zaangażowania po stronie Dobra, do jakiego zdolna jest elita polityczno-kulturalna.

Oczywiście takie konstruowanie własnej moralnej wyższości, mającej legitymizować wyższą pozycję społeczno-polityczną i umacniać status „reprezentantów moralnych” ma charakter politycznego teatru, jest wyłącznie formą pijaru i kreowania autowizerunku, gesty i słowa są całkowicie zrytualizowane i puste, bez krzty autentyczności (nota bene *apology* to także, jak podaje *Oxford Dictionary*, „marny substytut”, „licha imitacja”, „namiastka”, „karykatura”, „parodia”, „farsa”, co w tym przypadku pasuje idealnie). Celnie wydrwił to zjawisko Jay Rayner w powieści *Przepraszam za wszystko* (przeł. Lech Jęczyk, Wydawnictwo Capricorn, Warszawa 2006), której oryginalny tytuł brzmi *The Apologist*, czyli „przepraszacz”. Główny bohater Marc Basset obejmuje stanowisko Wysokiego Komisarza ONZ ds. Przepraszeń; w skład komisji, na której czele stoi, wchodzi przepraszacze z różnych narodów – przepraszacz holenderski przeprasza za apartheid w RPA, przepraszacz francuski za kolonializm w Afryce Północnej i Indochinach, troje niemieckich przepraszaczy co miesiąc przeprasza za zbrodnie popełnione na Żydach. W pewnym momencie Bassetowi przypomina się słynny przykład, reprezentującego „naród sprawców” kanclerza Brandta (któremu dużo miejsca poświęciła w swojej książce Karolina Wigura): „Myślałem, jak Willy’emu Brandtowi musiało być zimno w kolana” (s. 173). Czy jak kanclerzowi było „zimno w kolana”, to przejmował się losem ofiar?

Na opisane wyżej aspekty strategii politycznej „niewybaczania” oraz „prośb o wybaczenie” Karolina Wigura nie zwróciła większej uwagi, co być może wynika z tego, że zajmuje ona pozycję w „liberalnym centrum”, a zatem w istocie – antypolityczną. Dewiza portalu „Kultura Liberalna”, którego jest współtwórczynią i aktywną publicystką, brzmi „Z centrum widać najwięcej”. Mnie się jednak zdaje, że jest dokładnie na odwrót: z centrum widać niewiele lub nic zgoła. Aby w ogóle coś zobaczyć należy patrzeć albo z prawa, albo z lewa, albo z góry, albo z dołu; perspektywy można oczywiście zmieniać, patrzeć raz z prawa, raz z lewa, raz góry, raz z dołu, aczkolwiek – nie muszę chyba dodawać – pierwsze (pierwotne, źródłowe) spojrzenie, od którego zaczynamy poznawanie świata, musi zawsze paść z góry i z prawa.

* * *

W czasie, kiedy polsko-niemieckie stosunki kulturalne nie znajdują się raczej w fazie rozkwitu, przypomnieć warto Niemców, których zaliczyć można do „przyjaciół Polski”. Należał do nich Heinrich Kunstmann (1923–2009), sławista i polonista,

nieustrudzony promotor polskich pisarzy i literatury polskiej w RFN. Począwszy od 1957 roku, w ciągu trzydziestu lat przełożył ok. 100 polskich słuchowisk emitowanych przez różne rozgłośnie radiowe w Niemczech. Tłumaczył Gombrowicza, Witkacego, Mrożka, Herberta, W. Terleckiego, Śliwiaka, Iredyńskiego, Krzysztonia, Kulmową, Karpowicza; z tym ostatnim, podobnie jak ze Zbigniewem Herbertem i Witoldem Wirpszą, łączyły go bliskie, przyjacielskie stosunki (po polsku ukazała się jego korespondencja z tymi trzema pisarzami). Redagował dwie ważne slawistyczne serie książkowe: „Analecta Slavica” oraz „Colloquium slavicum”; wydał w Niemczech reprinty najbardziej wartościowych osiągnięć polskiego literaturoznawstwa z okresu przedwojennego m.in. Manfreda Kridla, Karola W. Zawodzińskiego, Kazimierza Wóycickiego, Konstantego Troczyńskiego. Pisał o polskim dramacie dwudziestowiecznym, polskim ekspresjonizmie, związkach między ekspresjonizmem polskim i niemieckim, o Gombrowiczu i Stanisławie Ignacym Witkiewiczu (dla witkacologii zasłużył się wytropieniem w latach 70. obfitej korespondencji Witkacego z niemieckim filozofem Hansem Corneliussem) – pełną bibliografię polonistyczną Kunstmanna znajdziemy w książce jubileuszowej *Amicus Poloniae. Teksty ofiarowane Profesorowi Heinrichowi Kunstmannowi w osiemdziesiątą piątą rocznicę urodzin* (redakcja Krzysztof Ruchniewicz i Marek Zybura, Via Nova Wrocław 2009).

Drugim obszarem zainteresowań Kunstmanna była wczesna historia państwa polskiego i związane z tym kwestie onomastyczne. Niektóre z artykułów na ten temat opublikowano w jego *Pismach wybranych* (wyboru dokonał, przekład przejrzał i posłowiem opatrzył Marek Zybura, Universitas, Kraków 2009). Analizował w nich m.in. imiona *Piast*, *Lach*, *Lech*, *Beleknegini* i *Besprim*, nazwę *Kaszubi*, staropolskie nazwisko szlacheckie *Poraj*.

W książce znalazła się także trzyczęściowa rozprawa *O bałkańskim rodowodzie Polaków*: cz. I. *Mieszko – imię pierwszego historycznego władcy i regest „Dagome Iudex”*, cz. II. *Kim byli „Opolini” „Geografa Bawarskiego” i skąd pochodzi etnonim „Polonia”?*, cz. III. *Trzy wielkopolskie toponimy: „Śrem”, „Bnin”, „Poznań”*. Przeglądając ją ostatnio odkryłem, że pod częścią pierwszą, będącą przedrukiem ze „*Slavia Antiqua*” (tom XXXI – Rok 1988) w wyniku jakiegoś redakcyjnego niedopatrzienia nie umieszczono nazwiska tłumaczki Anny Bender, toteż może powstać błędne mniemanie, że wszystkie trzy części przekładu są mojego autorstwa.

Czy argumenty niemieckiego uczonego czerpane z onomastyki są trafne, o tym niech wyroczą specjaliści – onomastyczne analizy Kunstmanna i jego teorię rodowodu Słowian skrytykował i odrzucił m.in. wybitny niemiecki onomastyk Jürgen Udolph. Mnie osobiście podoba się dowodzenie przez Kunstmanna „bałkańskiego rodowodu Polaków”, bo jest uparte, konsekwentne i pomysłowe. Jednakowoż jako wyznawca skrajnej wersji autochtonizmu (i przeciwnik teorii allochtonizmu i dyfuzjonizmu) odrzucam *a priori* jego pogląd, że praojczyzną Słowian była Azja Południowo-Zachodnia, skąd wyruszyli oni najpierw na Bałkany a potem dalej na północ:

Słowianie z różnych regionów Bałkanów po swojej migracji na północ utworzyli wielkoplemienny związek o nazwie *Polanie*: byli to Słowianie z obszaru myzyjsko-dackiego i pannońskiego, ale zapewne również z nowopirocko-albańskiego. Przykłady polskiej toponimii i hydronimii wskazują na to, że musieli w tym procesie uczestniczyć także Słowianie z regionu dalmatyńskiego i wschodniomacedońskiego.

Teorie allochtoniczne zawsze wpadają w *regressus ad infinitum* (najbardziej popularny przykład takiego wnioskowania to ten z Ziemią spoczywającą na wielkim żółwiu, który spoczywa na wielkim żółwiu, który spoczywa na wielkim żółwiu, który spoczywa...). Jeśli przybysze z Bałkanów utworzyli związek wielkoplemienny o nazwie „Polanie”, to skąd wzięły się związki wielkoplemienne na Bałkanach? Utworzyli je widocznie przybysze z innej krainy. A w tamtej krainie skąd się wzięły? Utworzyli je przybysze z jeszcze innej krainy. Aż w końcu musimy dotrzeć do krainy, do której nikt nie mógł przybyć, bo nie miał skąd. Oznacza to, że tamtejsi mieszkańcy byli „mieszkańcami rdzennymi”, znikąd nie przybyli, lecz żyli tam „od zawsze” jako autochtoni, tubylcy, tuziemcy. Skoro jednak mogła zaistnieć jakaś kraina zamieszkała przez autochtonów, czyli będąca jednocześnie ich „praojczyzną” i „ojczyzną”, to nic nie stało na przeszkodzie, by zaistniało wiele takich krain? My, polscy Słowianie także mamy swoją „(pra)ojczyznę”, leżącą mniej więcej tam, gdzie żyliśmy dawno temu i gdzie żyjemy obecnie.

Tomasz Gabiś (ur. 1955) – publicysta, tłumacz. Absolwent polonistyki i germanistyki Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 1986–1989 redaktor a w latach 1990–2004 redaktor naczelny czasopisma „Stańczyk”. Autor książki *Gry imperialne* (2008).